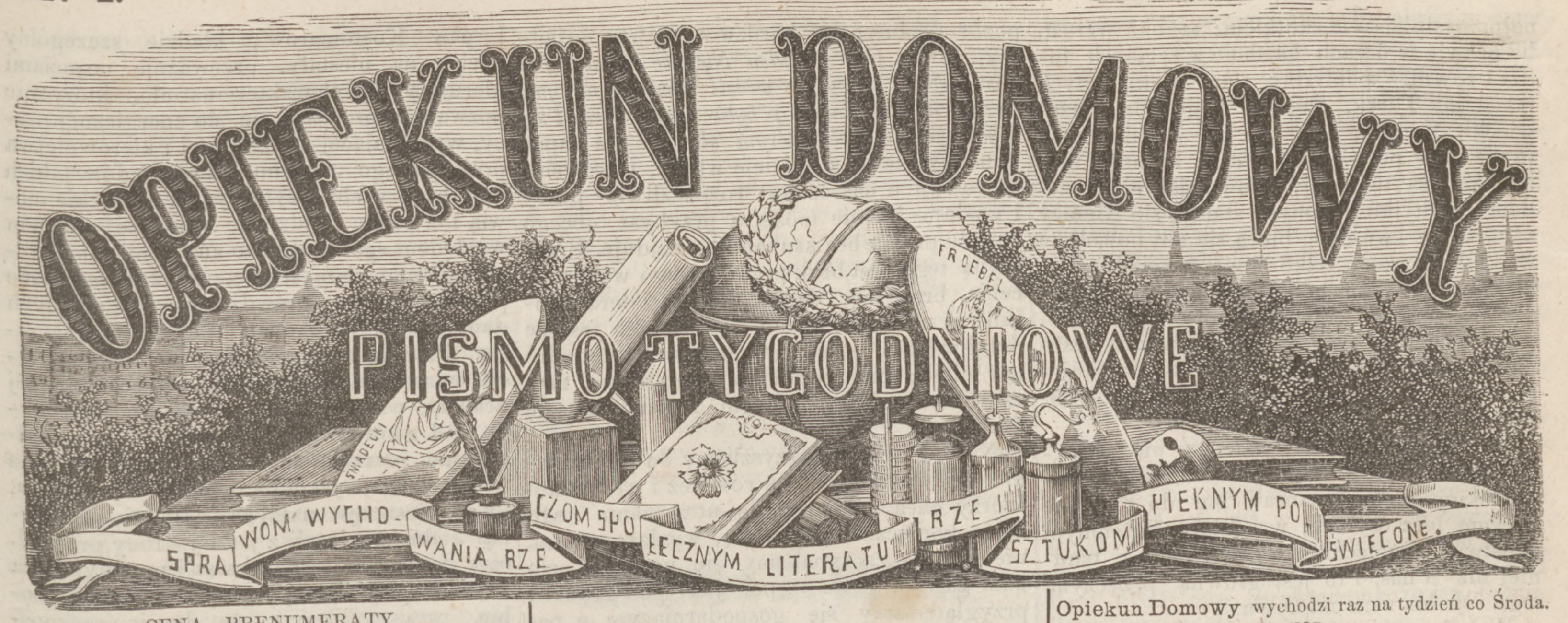
Nr. 4. Warszawa dnia 10 (22) Stycznia 1873 roku. ROK IX. Seryja 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego, (daw. księg Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

Drang nach Osten!

Każdy człowiek, jeżeli nie zna dokładnie warunków bytu swego jest wystawionym na igrzysko zmiennéj fortuny i prędzéj lub póżniéj byt swój nędznie zakończyć musi, gdyż praca kierowana bez uwzględnienia warunków w których człowiek żyje, nie ma trwałej, rozumnej podstawy i rezultat jej bywa prawie zawsze bardzo opłakany.— To co stosuje się do życia jednego człowieka, stosuje się także i do życia całych społeczeństw— do życia narodów; to jest każde społeczeństwo, jeżeli chce istnieć oparte na pewnych podstawach, powinno najdokładniej wiedzieć, co dlań jest dobrem, co złem, co mu przynosi korzyść, a co przyprawia o stratę, jeżeli nie w danéj chwili to w przyszłości— powinno wiedzieć, co mu zapewnia długotrwałe życie a co śmierć przyprawia. Wszystkie ucywilizowane narody starają się jak *najusilniéj o rozwiązanie powyższych pytań* i działalność na tym nowym polu pracy i badań wre prawie gorączkowa; najwymowniejszym zaś jej dowodem jest olbrzymi rozwój w ostatnich czasach tak zwanych nauk społecznych.

Jak daleko zostaliśmy wtyle za innemi, mówić, zdaje się nie ma potrzeby; nauki ekonomiczne, statystyka i wogóle wszystkie społeczne stoją u nas na bardzo niskim stopniu rozwoju i większa część klasy tak zwanéj ukształconéj nie ma o nich najmniejszego wyobrażenia, nie zawsze je nawet znając z nazwiska.— Dziwić się temu nie będziem, gdy zwrócimy uwagę, że nietylko nauki ale i kwestyje, które codziennie każdemu gwałtem podpadają pod oczy, które oddawna powinny być najgruntowniej i najstaranniej badane i rozwiązywane, dotąd napróżno oczekują na pracowników.

Jedną z tak ważnych dla nas kwestyj jest ciągle wzrastający napływ Niemców, o nim, też i naszym względem niego położeniu mówić tu zamierzam. Rzecz moja nie jest wyczerpującą, podaję ją Wam czytelnicy z tą tylko nadzieją, że być może, kilka tych słów *będzie bodźcem* do gruntowniejszego rozbioru i pilniejszego zwrócenia uwagi na tę tak ze wszech miar nieobojętną dla nas sprawę.

Nie mam potrzeby rozszerzać się nad dowodzeniem, że napływ żywiołu niemieckiego do nas istnieje że zwolna lecz bez przerwy wzrasta. Brak dokładnych statystycznych danych niedozwala mi szczegółowo wykazać, że ludność niemiecka w naszym kraju rok rocznie mnoży się w takim stosunku, iż wzrostu tego nie można przyjąć za naturalny, wynikający z większéj liczby urodzeń a mniejszej śmiertelności w porównaniu z ludnością słowiańską; w każdym razie i te cyfry, które niżej przytaczam są dosyć przekonywające. Dla porównania wzrostu ludności niemieckiej z *tuziemną słowiańską* biorę tu krańcowe lata ośmioletniego peryjodu, od 1855 r. do 1863. [1])

I tak ludność słowiańska Królestwa w 1855 r. wynosiła 3,647,179 osób, Niemiecka 245,317 a w roku 1863 słowiańska 3,783,797, niemiecka 285,175, a zatem po ośmiu latach słowiańska ludność powiększyła się o 136,618; to jest przecięciowo słowiańska ludność rocznie powiększała się o 17,077, niemiecka o 4,982, czyli na 100 słowian rocznie przybywało 0,5 a na 100 niemców 1,8.—

Cyfry te pokazują że ludność niemiecka ni mniej ni więcéj tylko *cztery razy prawie* prędzéj wzrasta od ludności słowiańskiéj.

Nie byłoby to dla nas tak zatrważającym gdyby handel w całym znaczeniu tego słowa nie znajdował się w rękach prawie obcych, teraz zaś, starajmy się aby i to, co nam zostaje, nie przeszło z przyczyny naszej niezaradności w posiadanie niemców. Jednę z tych zostających dla nas gałęzi pracy— przemysł Niemcy usiłują nam wydrzeć i jak dotąd nie znajdując z naszéj strony najmniejszego przeciwdziałania, usiłowania ich uwieńczały się

[1]) Wiadomości statystyczne poczerpnięte z Kalendarza wydawanego p. Obserwatoryjum Warszawskie.

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile.... w czynie.

„O sławo! tyś piękna niebianka
Gdy czyste są twoje podniety
Piękniejszaś od ślubnego wianka
Szczytniejszaś niż karpackie grzbiety.“

Tak śpiewał poeta i śpiewał prawdę. Sława! Ileż to dla niéj zrobiono—iluż usiłowań była ona motorem, ileż świetnych czynów było jéj żądzy owocem? „Czy w zbroje rycerskie ubrana, czy w stroje poety Cheruba” po wszystkie czasy budzi ona do życia i „do ciągłéj dążności zagrzewa.” Tłum czcicieli pada na kolana przed wielką boginią. Mnich, co w czterech ścianach benedynktyńskiéj celi strawił życie wśród dusznego pyłu pargaminowych zwojów,—rycerz, co gardząc życiem zdala od swoich i najdroższych nadstawiał pierś na śmiertelne pociski,—wieszcz co porzucił bramy dostatków i nad chlebodajne rzemiosło wolał ubogą lecz szeroko dźwięczną lirę,— wszyscy ci ludzie ileż razy pracowali dla sławy, ileż nawet razy dla niéj tylko jedynie. Obok dostojnych pomazańców, w których wielkim sercu i inne jeszcze gorzały uczucia—goni, pnie się lub skacze wyrodne i karłowate plemię. Herostrat pali świątynię, Antistenes dziurawi płaszcz i tak już podarty, Sawicz Żabłocki pisze wiersze, prowincyjonalny aktor zrywa płuca, — baleryna wykrzywia nogi, godne lepszego losu. Grono gapiów, przyjaciół i znajomych krzyczy: „brawo!”

Tędy droga do sławy.

„Grono przyjaciół i znajomych.” Tak jest szanowni czytelnicy, to grono fałszywym oklaskiem nie jednego na zgubne poprowadziło tory, — przedwczesnym wieńcem nie jeden młody zwichnęło talent.

* * *

Pomijając fałsze, chcemy tu właśnie powiedzieć słów parę o przedwczesnych wieńcach. Młoda i obiecująca artystka—mniejsza o to wierzy czy nie wierzy, iż sława „piękniejsza od ślubnego wianka” ma w każdym razie talent, uczucie, trochę nauki, a może i zapału do pracy. Przy dalszéj usilności, przy sumiennych studyjach —wrota przyszłości stoją otworem. Dziś potrzeba jéj tylko słówka szczeréj zachęty na którą rzetelnie zasługuje. Grono przyjaciół nie przestaje na tym. Wtłacza na młode skronie tryumfalny wieniec wawrzynu i zawodzi chórem „jesteś wielka.” Czy od tego okrzyku nie zamajaczy się w główce dziewczęcia?

* * *

Ze względu na drobną doniosłość powyżéj zaznaczonego szczegółu nie poświęcalibyśmy mu tyle miejsca, gdyby nie okoliczność, że fakta podobnego rodzaju trafiają się u nas coraz częściéj szczególniéj też odnośnie do

najpomyślniejszym skutkiem: szybki wzrost, bo prawie w oczach każdego z żyjących ludzi i również pomyślny stan wielu innych miast jak Turek, Zgierz, Tomaszów Mazowiecki, Zduńska Wola i t. d., zaludnionych przez samę po większej części ludność niemiecką, są tego najwymowniejszym dowodem. Nietylko przemysł starają się Niemcy zagarnąć w swe ręce, biorą się oni powoli za wszystko z czego tylko mogą wyciągnąć jakiekolwiek zyski: kolonizują większe posiadłości ziemskie; zabierają nam resztki lasów, dając w zamian swój węgiel, urządzają nasze racyjonalne gospodarstwa, obładowywując jeszcze racyjonalniej własne kieszenie; zresztą, któż z nas nie wie o tym.

Otóż, jak widzimy, Niemcy nie na żarty zabrali się do cywilizowania naszéj słowiańskiéj ziemi i zabrali się do tego nie słowem lecz czynnie; w silniéj zaludnionym państwie niemieckim, o chléb trochę trudniéj niż u nas, i to jest główną przyczyną tego ich ku nam napływu.

Wyżéj wspomniałem, że przyczyną powodzenia naszych szanownych cywilizatorów jest brak wszelkiéj z naszéj strony rywalizacyi; zobaczmy, czy tak jest rzeczywiście? Aby rywalizacyja taka istnieć mogła, potrzeba koniecznie dwu warunków: I. aby społeczeństwo było przekonane o istnieniu napływu żywiołu niemieckiego i miało przytym jakie takie pojęcie o skutkach jakie na nas sprowadzi, gdy nie postaramy się położyć póki czas kresu jego rozwojowi: II. aby społeczeństwo stało na równym stopniu rozwoju ze swemi zachodniemi sąsiadami. Pierwszy z tych warunków chociaż nie zupełnie istnieje; społeczeństwo nasze oddawna dostrzegło ów napływ, gdyż to przedstawiało niewiele trudności; czy zaś pojmuje jak ważny wpływ może on wywrzeć na nasze losy? nie można odpowiedzieć ni twierdząco ni przecząco, w każdym razie zaradzić temu nie trudno, gdyż rozwijające się piśmiennictwo szybko może obznajmić ogół z tą sprawą. Że zaś drugi warunek u nas nie istnieje, dają nam to uczuwać sami Niemcy na każdym kroku zbyt dotkliwie, abyśmy o tym nie wiedzieli. Rywalizacyja więc z naszéj strony istnieć nie może i rzeczywiście teraz nigdzie śladów jéj nawet nie widać, a jeżeli się gdzie i objawi, to najczęściéj kończy się zupełną klęską z naszéj strony; fakt na pozór drobny, ale bardzo wymowny świadczy, że tak jest: *Żaden Niemiec szukający u nas chleba z pracy nie wrócił nazad z niczym, lecz po niewielu latach pobytu często stawał się bogatszym od tych, którym służył*; nie zapominajmy, że to się dzieje wtedy, gdy tysiące rodzin u nas szuka rozpaczliwie pracy i znaleść jéj nie może, a przybysz obcego narodu prawie bez szukania ją znajduje. Przyczyną tego jest brak praktycznego wykształcenia, brak ten, dający się już i teraz dotkliwie uczuwać, stanie się z czasem jeszcze dotkliwszym, jeżeli mu nie zaradzimy, dając młodszemu pokoleniu gruntowną, rzeczywistą naukę. Nad tym zastanówmy się dłużéj.

Nie od dziś już przyszliśmy do przekonania, że nauka nam, jak również i wszystkim którzy chcą żyć, jest do utrzymania tego życia koniecznie potrzebną, wiedząc o tym, nie raz już zaczynaliśmy się uczyć, a szło nam zawsze jakoś tępo, jak po grudzie; przyglądaliśmy się gospodarującym u nas Niemcom i zawsze widzieliśmy, że niżéj od nich stoimy; patrząc więc na ten nasz stan, na naszę niższość w porównaniu z Niemcami, na te ciągłe, a bezskuteczne dążenia do poprawienia naszego położenia, mimowolnie prawie musimy zapytać — czy rzeczywiście możemy zrównać się z Niemcami, czy moglibyśmy?..

Oddawna już, bo od kilku wieków ustalać się u nas zaczęło i nakoniec zupełnie się ustaliło, przekonanie, że wytrwała i mozolna praca jest dla nas niedostępną — że każdy czyn, każda praca wymagająca dłuższego czasu i trochę silnéj woli przy wykonaniu, nie mogą u nas mieć miejsca z braku wytrwałości i mocy charakteru, z przewagi uczuć nad rozumem, które wybuchając zrazu głośno i szumnie przy najwznioślejszych celach, nie doprowadzają nas nigdy do końca, gdyż nie wspierane nieodzownemi warunkami, t. j. rozumem, silną wolą i wytrwałością upadają zwykle i upadać zawsze będą.

Nie tylko my sami przyszliśmy do tego przekonania, w tym razie nie mylimy się, albowiem i inni obcy sądzą o nas tak samo, bo sądzą z czynów naszych. Dla przykładu weźmy sąd wydany o naszym społeczeństwie np. przez p. Kostomarowa, najznakomitszego z żyjących rosyjskich historyków. Otóż i pan Kostomarow, kładzie szczególny nacisk na niestały, przeważnie uczuciami kierujący się charakter narodu, który nie pozwala nam wziąć się do energicznéj pracy, wymagającéj wytrwałości i kierownictwa praktycznego rozumu. Przykładów takich mógłbym wiele przytoczyć, a wszystkie mówią toż samo; widzimy więc, że pod tym względem społeczeństwo zna siebie, zna swoję najujemniejszą stronę, gdyż rozszerzone przekonanie jest prawdziwym i na pewnych danych opartym sądem. Wiemy o tym wszyscy. Patrząc na siebie, przyglądając się życiu własnemu, przyszliśmy do poznania téj prawdy; wiemy, że serce ma u nas przewagę nad głową, wiemy o tym, jak o pewniku nie potrzebującym już dowodzeń, ale wiemy także, jakie-to rezultaty sprowadza, ilu to nieszczęść naszych stało się przyczyną. Jednakże, jeżeli z jednéj strony przyszliśmy do poznania rzeczywistéj prawdy, to za to z drugiéj strony przyswajając ją sobie, przyswoiliśmy także drugie przekonanie nadzwyczaj fałszywe i szkodliwe już z samego uznania go za prawdę również rzeczywistą jak pierwsza; tą quasi — prawdą jest przekonanie, jakoby charakter nasz nie dał się niczym zmienić, i że przy nim *chcąc nie chcąc* na wieki pozostać musimy. I rzeczywiście, od czasu gdyśmy przyszli do tego przekonania uparcie twierdzimy jedno i to samo: że *natury zmienić nie można.* Drzemiemy więc najspokojniéj dumni ze swych cnót starych, z gościnności i dobrego, złotego serca, ze swej szczerości dobroczynności sławionej i wielu innych popędów sercowych, zapominając o tym, że to jeszcze nie wszystko, że potrzeba stworzyć to czego brakuje.

Na szczęście nie wszyscy chcą zostać w tym ospałym kwietyzmie. Dążenie ku lepszemu zwolna, ale coraz wydatniéj objawiać się u nas zaczyna, poznajemy jednę z najbardziéj ujemnych swoich stron, a w dążeniu tym najmniejsza świadomość siebie znaczy już wiele; zobaczmy więc, czy dalsze przekształcenie się jest możebne? Czy też charakter nasz jest rzeczywiście niezmiennym i czy tym samym praca przedsiębrana koło samych siebie nie będzie pracą na wiatr puszczoną.

Teraźniejszy nasz charakter nie jest naszym rzeczywistym charakterem, — jest to po prostu chorobliwy stan społeczeństwa,

---

sfer artystycznych. Piotr chwali Jana, a Jan chwali Piotra, a jeśli pochwali go za mało, to wkrótce żałuje winy i poprawia się nieba wem kilkoma *adhoc* dodrukowanemi wierszami. Tak przynajmniéj uczynił w *Kuryjerze Codziennym* recenzent ostatniego koncertu konserwatorium Muzycznego, zamieszczając dodatkowy, jakoby przez zecera opuszczony hymn pochwalny na cześć swego dyrektora.

* * *

Gdy tak jedni pracują nad sławą współczesnych, inni odgrzebują z pyłu zapomnienia smutnéj pamięci dziejowe postacie i usiłują je rehabilitować w oczach dzisiejszego pokolenia. Podobnego zadania podjął się *Przegląd Katolicki* drukując obecnie: „Źródła historyczne do życiorysu Papieża Aleksandra IV.” Gdyby studyja historyczne z naprzód zakreśloną *nieodzowną tendencyją* mogły mieć rzeczywistą wartość, nie odmawialibyśmy takowéj artykułowi, o którym mowa, już ze względu na samo usiłowanie gruntownego opracowania. Tutaj zwrócimy tylko uwagę redakcyi na to że historyk Savonoroli nie „zsyła się” lecz *powołuje się* na ustęp z Bollandystów... (str. 21) Szanujmy język!

* * *

Mówiąc już raz o *Przegl. Katol.* nie możemy pominąć zamieszczonéj w nim wiadomości, która brzmi: „Nowe nadzwyczajne odkrycie zrobił p. Jerzy Smith. Znalazł opis potopu wcześniejszy od ksiąg Mojżesza, bo zopowiadania *naocznego świadka* tego wielkiego wypadku sporządzony.” Nie lekceważąc bynajmniéj odkryć uczonego archeologa wątpimy przecież, aby nawet tak zwany alfabet klinowy był już znany synom Noego.

Z grzesznéj téj wątpliwości nie wyprowadził nas żaden religijny organ, bo *Izraelita* podając tęż samę, wiadomość twierdzi że „p. Smith odkrył tablice pisane około 660 r. przed Chr. Tablice te jak przekonywają odcytowane napisy, są kopiją daleko starożytniejszego oryginału, a treść ich odnosi się do epoki oznaczonéj według kronik chaldejskich na 30,000 lat przed Chr. Wtedy to król Izdabar doszedłszy do rzeki oddzielającéj nieśmiertelnych od śmiertelnych” gawędził sobie z Sisitem. który jest ni mniéj ni więcéj tylko Noah biblijnym. Przy téj sposobności ośmielamy się przypomnieć *Izraelicie*, że słowo *zabraknąć* rządzi przypadkiem 2-gim (str. 8 „zabraknie im *ta*” zamiast *téj*). Błąd ten gorszy nas tym więcéj że redakcyja *Izr.* stara się zwykle o czystość języka, tak w rzeczach oryginalnych jak i w przekładach.

* * *

A propos przekładów dowiadujemy się, że pani Zofija Meller tłómaczy na język polski rozgłośną komedyją Benedixa p. t. „Die zärtlichen Verwandten,” (czułe kuzynki) z naszego zaś języka p. Swieczyn przełożył na rosyjski „*Epidemiją*” Narzymskiego, który to utwór ma być wkrótce przedstawiony na scenie Petersburskiéj.

Rzadziéj niż utwory belletrystyki zyskują sobie tłómaczy nasze opracowania technologiczne, dla tego z prawdziwą przyjemnością zaznaczamy iż broszura tutejszego inżyniera p. Spornego „*O asfalcie*” przełożoną została na język rumuński przez p. Biesco w Jassach.

* * *

Od tłomaczeń przejdźmy do rzeczy oryginalnych.

Trzeci tom krakowskiego pisma „*Na Dziś*”, w tych dniach nadejdzie do Warszawy. Zawiera on co następuje: Pamiętniki Dra Józefa *Franka*, profesora uniwer. wil., streszczone i uzupełnione przez Dra Michała *Homolickiego*. Daniel, powieść współczesna, napisał Józef *Tretiak*. Naprzód, romans *Spielhagena*,

z którego jak najprędzéj wyleczyć się ono powinno.

Zwrot ku lepszemu objawiający się teraz, może osiągnąć swój cel; chodzi o to, co robić nam należy, aby ów cel został zupełnie osiągnięty, t j. aby społeczeństwo nasze raz na zawsze zostało wyleczone ze swej długiej niemocy.

Najdzielniejsi myśliciele nasi zrozumieli złe, poznali jego przyczynę i zaczęli nawoływać do pracy i rzeczywistéj nauki, ukazując na nie jako na jedyny środek ocalenia, ukazując na potrzebę gruntownego przekształcenia naszego społeczeństwa zapomocą staranniejszego wychowania młodszego pokolenia. W ten sposób tylko stopień oświaty, na którym teraz stoimy, może być podniesiony do stopnia, na którym stoją nasi zachodni sąsiedzi; daleko zostaliśmy w tyle za niemi, więc przed nami praca ciężka i mozolna: dopędzić tych, którzy idą prędzéj od nas! — „Uczmy się, ale *przedewszystkim uczmy swe dzieci*" powinno być hasłem naszym; w przeciwnym razie wszystkie usiłowania, wszystkie nawoływania zmierzające do polepszenia naszego bytu pozostaną nazawsze czczą gadaniną, gdyż śmiało powiedzieć można, że większa część błędów, któreśmy popełnili pochodzi stąd, że zamało dotąd zwracaliśmy uwagi na tę najważniejszą dla nas sprawę; *pamiętaliśmy o liściach i gałęziach opadających, a zapominaliśmy zawsze o korzonkach ukrytych* — o podstawie ogromnego drzewa—narodu.

Ojcowie i matki nasze raz przecie powinni zrozumieć i pojąć, jak wielki i święty obowiązek przyjmują na siebie, dając życie dziecięciu, powinni pamiętać o tym, że nie dając mu należnego wychowania, przyjmują na siebie ciężką, niczym nieusprawiedliwioną odpowiedzialność—wyrządzają krzywdę i własnemu dziecku i społeczeństwu. Praca i nauka tylko mogą nas zbawić i wprowadzić nasze społeczeństwo na drogi, po których oddawna już iść powinno.

Naśladujmy swych braci Czechów, bo czas wielki. Nie płaczmy nad sobą, bo tym objawiamy swą słabość, nie narzekajmy na niemców, bo to dowodem naszej niedorzeczności.

Wznieśmy się pracą tam, gdzieśmy już dawno stać powinni, a przekonamy się, że „*Nach Osten*" przestanie być dla nas groźnym! Uczmy się i pracujmy całą potęgą swych młodych i zdrowych sił, a przekonamy się, że mając rzeczywistą, prawdziwą naukę, naród nasz, nabierze nowej mocy i nieznanej mu teraz energii i wytrwałości; a wtedy upojony zwycięstwami niemiec przestanie krzyczeć, że pole przeorane jego pługiem, przestaje już być naszym. Walka z niemcami sama przez się ustać musi, gdyż niemiec uzna w nas niezachwianą potęgę i skieruje w inną stronę swe cywilizacyjne kroki.

„Stara to jak świat piosenka i znana nam wszystkim oddawna" powie kto może. Tak, ale dlaczegoż, wiedząc o tym, nie czynimy tego, co dla nas jest dobrym; dlaczego od lat tylu widząc złe, doświadczając tak dotkliwie jego skutków, nic nie robimy i oczekujemy zmiłowania bożego? Niedoczekamy się go z pewnością, bo „*Błogosławieni, którzy pracują, ale biada tym, którzy bez pracy chcą żyć na świecie.*"

A. Szymański.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Teraz Emanuel zaczerwienił się na tę nieuważną gadaninę—nie mógł znaleść własnej odpowiedzi, był rozdrażniony i niechętny.

— Pani pragnie rozrywki! — rzekł nagle prawie surowo — patrz pani! — natura jak wielka, tajemnicza i zajmująca księga, roztwarta przed oczami ludzi, zachęca ich do badań. — Kwiaty kwitną, czarowne wdziękiem swym, a ta dla której przyjemności są tak starannie hodowane, mija je obojętnie. Botanika to piękna rozrywka dla osób mogących zużywać tyle czasu ile im się podoba. Nad nami świeci czerwone słońce i gwiazd ukrytych miljony — ciekawą jest ich droga —a czytanie astronomii choćby popularnej, mile zajmuje godziny. To samo słońce, tak ładnie przezierające przez cienistą altanę na głowę pani, wieńczy promieniami nie ochronione niczym od skwaru czoło żniwiarzy i żniwiarek. Niejedna z bólem serca dla zarobku na chleb powszedni odbiegła dziecię chore, lub matkę staruszkę bezsilną, i upada pod ciężarem pracy, nie posilona, bo może w chacie nędza i nieszczęście. Spojrz pani! niejeden nędzny domek, wali się w gruzy, a jednak ma służyć za schronienie w lecie i w zimie, podczas upału, ulewy i mrozów —całej rodzinie. Tam ręce bezczynne, błyszczące złotem, mają pole do zajęcia, do otarcia łez boleści, do podniesienia upadających. Tam młode umysły otoczone grubą pomroką ciemności, przyjęłyby światło wiedzy, gdyby je miał kto udzielić! A jednak—czynić dobrze! to wielka rozrywka pani hrabino!.. nakoniec — z jednego z okien pałacowych, wygląda na rękach piastunki śliczne dziecię, zdaje mi się że córeczka pani! — ah! to najmilsza przyjemność i rozrywka! — Miałem słuszność twierdząc że tysiące ich czeka na skinienie pani!...

Elodyja milczała z głową opuszczoną na piersi — czy się gniewała za wyraźną naganę, czy rozmyślała — trudno było odgadnąć. Przy końcu mowy Emanuela, żywy rumieniec oblał jej lica — ale nic nie wyrzekła. Przykre zapanowało milczenie, — traf atoli, oswobodził ich od wzajemnego zakłopotania. Pani Fredziowa, prowadzona przez pannę Bertel, weszła do lodżii.

Elodyja powitała grzecznie przybyłą, —twarz jej płonęła wzruszeniem, łzy dodały blasku szafirowi oczu, pełnym wdzięku poruszeniem przedstawiła, bez wachania Emanuela.

— Książe Emanuel Wiśniowiecki!—rzekła — pani Lucyna D. dodała przedstawiając piękną sąsiadkę.

Elodyja dała tym dowód wielkiego heroizmu—nie pytając czy to będzie stosowne lub nie, postawiła odrazu Emanuela na równi ze *swoim towarzystwem.*

Nowoprzybyła zmierzyła młodego księcia uważnym okiem i znać ten przegląd wypadł na jego korzyść, bo najponętniejsza minka natychmiast ukazała się na przystojnej dość pulchnej buzi—i ożywioną zaczęła rozmowę. Emanuel z konieczności był wciągniętym w gawędkę — z początku mało mówił, lecz piękna Lucyna wprost zwrócała do niego pytania, wraz z całym arsenałem dowcipnych spojrzeń i zalotnych uśmiechów. Ledwo za godzinę zmęczony odpieraniem zręcznych napadów eleganckiej pani, zdołał się wymknąć, i uciec do swego pokoju. Zamknąwszy się tam upadł na fotel, i odetchnął z głębi piersi.

— O Beato moja!.. zawołał głośno z użaleniem — tymczasem Fredziowa ledwo się

---

część I, R. IX., Wizerunek poety, satyryka i mistyka z XIII wieku, przez Lucyjana *Siemieńskiego*. Listy A. Felińskiego, wydał I. J. *Kraszewski*. Uczta myśliwska na Beskidzie, przez Wincentego *Pola*. *Filologija:* Uwagi wstępne do niektórych spostrzeżeń w przedmiocie języka, przez profesora Dra Józefa *Majera*, prezesa Akademii Umiejętności w Krakowie. *Studyjum socyjologiczne:* Plato i jego Rzeczpospolita, przez Bolesława *Limanowskiego*. *Człowiek przedhistoryczny*, przez Dra Karola *Libelta*, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. *Historyja:* Kobiety historyczne: III. Katarzyna Théot, przez Dra Ksawerego *Liskiego*. *Etnografija:* Rzecz o obchodach weselnych ludu, przez Oskara *Kolberga*. *Botanika*: Spór Botaników, przez E. G. *Ekonomija polityczna*: Drogi handlu zbożowego, przez J. N. *Sadowskiego*. Józef Supiński, przez J. N. *Sadowskiego*. *Przegląd literacki*: XXX. przez F. *B.* i J. *ze S.* Z powodu prelekcyi Tarnowskiego o Wacławie i drobnych poezyjach Garczyńskiego, przez *Poznańczyka*. *Biblijografija Polska*. *Korespondencyje*: Listy z Paryża. (List I.), przez A. *de Large*.

Treść tego tomu obfita i urozmaicona, dowodzi staranności redakcyi; z przyjemnością też możemy tu dodać, że przełamawszy piérwsze lody, redakcyja tego pożytecznego wydawnictwa zapewniła mu nadal trwałe istnienie, jako *stałego miesięcznego pisma.* Życzymy jej wytrwałości i gorącego ze strony ogółu poparcia.

* * *

W Poznaniu ma wychodzić *Biblijoteka Słowiańska;* nie znamy jeszcze bliżej treści tego wydawnictwa, — ale w każdym razie będzie to jeden dowód więcéj, że żyjemy w epoce *Encyklopedyj i Biblijotek*... Obok tego ma wychodzić w Poznaniu nowy *Dwutygodnik dla spółek pożyczkowych*, pismo, jak widzimy, *specyjalne* w całym znaczeniu tego wyrazu — i drugie bardzo znów popularne dla stanu średniego, p. t.: *Wiarus.*

* * *

Biblijoteka Warszawska w styczniowym zeszycie zawiera kilku ciekawych artykułów, (powiększej części zaczętych dopiero), na które chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników naszych. Są to przedewszystkim wspomnienia p. Wojcickiego, z czasów jego młodości i pierwszych występów na literackiej arenie. Noszą one tytuł: *Kawa literacka w Warszawie* (1829—30). Ożywia je wierna pamięć, serdeczne uczucie dla nauczycieli i dla rówieników. Ktoby chciał szukać dramatycznych scen pełnych komizmu lub grozy, ciekawych i zajmujących awantur — omyliłby się grubo. Życie ówczesne płynęło widać spokojnie, trybem małomiejskim bez silnych wrażeń, bez silnych wzruszeń. Wspomnienia p. Wójcickiego rozświetlą choć w części *prywatne* życie niektórych naszych znakomitych ludzi z tak niedalekiej przeszłości.

Dość wierny obraz *społecznych* pytań przedstawia artykuł p. Tyszyńskiego: „*Darwinizm i pozytiwizm w treści pism naszych.*" Jak dotąd zajmuje się on przeważnie dokładnym podaniem treści dwu broszur wyszłych w roku zeszłym: *Materyjalizm wobec nauki* ks. Pawlickiego. *Prawo postępu* Masłowskiego o którym pisaliśmy już wczasie właściwym — tudzież rozbiorem popularnego traktatu p. Szyszły p. r. *Przegląd dziejów przyrody.* P. Tyszyński sądzi zwykle trzeźwo i wytrawnie, szkoda jednak że w teoryjach filozoficznych wszystko stara się *dopasować* do swojej własnej formułki, podług której człowiek składa się z trzech części: z ciała z myśli i z ducha. Z innych artykułów wymieniamy już tylko Poezyje Karola XV. króla szwedzkiego (zmarłego), Odczyty francuskie w Strasburgu, Podróże i odkrycia jeograficzne (w r. 1871—72). Dzielimy się również pomyślną

drzwi za pięknym księciem zamknęły—zawołała:

— Ah! le beau garçon! — powiedz mi skąd się wziął ten śliczny książę? — Emanuel! ah! piękne, interesujące imię!...

— Przyjechał z Warszawy! — odparła lakonicznie Djola.

— Czy to kuzyn wasz? — oh! mów droga! umieram z ciekawości! Jego ojciec, matka, rodzina, gdzie mieszkają. Sądząc po nim, pewno to ludzie nadzwyczaj bogaci! Jaki ton! maniera! twarz!—a! szyk!

— Jest synem księcia Marcelego—niegdyś bogatego.

— Dziś zapewne fortuna nieco mniejsza —no! ale musi być znaczna!—mówiła uparta pani.

Elodyja dziwnie przykrego doznała uczucia — dumny uśmiech jakim może słysząc te słowa uśmiechnąłby się Emanuel, okrążył jej usta.

— Nie! — rzekła wyraźnie, młody książe jest zupełnie ubogi!

— A! tak?!... mruknęła zdekoncertowana nieco dama.

— Nadzwyczaj wiele ma zalet, wysokie wykształcenie, prześlicznie gra na fortepianie!

— No! zapewne bawi się u familii? — znać na nim znakomite pochodzenie, i obejście się w eleganckiej sferze wyższego towarzystwa! Zapewne do was przyjechał na lato?

— Zabawi rok cały, bo książe Emanuel nie komunikuje się wcale ze swą dostojną familiją, nawet podobno nie ma bliskich krewnych i objął u nas obowiąki biblijotekarza!

— Żartujesz chyba? — zawołała z podziwieniem omal nie upuściwszy z rąk pysznego wachlarza pani Fredziowa—książe biblijotekarzem?... ależ to niepodobna! to jakiś samozwaniec, podszywający się pod imie księcia!...

— Nie moja droga! jest tak prawdziwym księciem jak twój mąż dobrym szlachcicem! —odparła uprzejmie Elodyja.

Państwo Fredziowie szczycili się swym nazwiskiem. Elodyja umyślnie zrobiła porównanie. Piękna pani skrzywiła się, i pokręciła główką.

— Daruj! ale tego nie rozumiem!—wycedziła niechętnie przez ząbki.

Hrabia Władysław powrócił z przechadzki, i powitał panie—żonę ukłonem, sąsiadkę uściśnieniem ręki, chętnie mu podanej.

— Panie Władysławie! możeż to być!...

— Co?... łaskawa sąsiadeczko!

— Ależ ten książe-biblijotekarz?...

— Ładny chłopiec—nieprawdaż?

— Rzeczywiście—twarz interesująca!

— Byłem pewny że pani to zauważy!

— Skądże pewność? panie hrabio?

— Bo wiem że te śliczne oczka, nie tylko *patrzyć* ale i *dostrzegać* umieją! wyrzekł Władysław nieco ciszej.

— Tym gorzej dla nieostrożnych!... brzmiała dwuznaczna odpowiedź.

— Niestety! zbyt trudne zadanie omylić czujność takiej straży, nic nie ujdzie ognistego pocisku wejrzeń przenikających głębiny naszego serca! — mówił hrabia wpół ironicznie, patrząc się z uśmiechem w ładne oczy młodej pani.

— Nie wiem, co pana upoważnia do podobnych słów!—odparła z chmurką na czole.

— A ja znów nie wiem, co w nich pani znajduje dziwnego, bo są one nader proste i wyraźne. Czyż pani nie wie najdokładniej jakiego rodzaju wrażenie pani wywołuje w osobach, które są zaszczycone pewnemi względami jej uwagi? I nietylko teraźniejsze wrażenia, ale i mogące później nastąpić, i każde myśl pani pochwyci, pozna, odczuje, uzupełni!... N'estce pas madame?..

— Je n'en sais rien!...

— C'est que je sais!... dorzucił śmiejąc się Władysław.

Na usta pani Lucyny powrócił lekki uśmiech, a z za wachlarza figlarne ukośne wejrzenie, spotkało źrenice hrabiego. Zapomniała o Emanuelu, o tym ciekawym dla niej okazie, księcia-biblijotekarza—bawiła się wybornie, i tryskała dowcipnie słówkami.

Elodyja milczała, nieruchoma, zdawała się nic nie słyszyć, nie widzieć w około siebie. Pani Lucyna tłumaczyła to po swojemu, i szepnęła wśród ożywionej gawędki hrabiemu:

— Cette pauvre petite Djola! elle est jalouse!

Elodyja nagle podniosła głowę:

— Ja zazdrosna?... rzekła z tak wyraźnym akcentem pogardliwej ironii, że mimowolnie zmięszali się weseli państwo — roześmiała się nerwowo i zmierzyła ich długim spojrzeniem obrażającego lekceważenia — ha! ha! quelle idée!...

— Dla czego nie możesz być o mnie zazdrosną Djolo? — pytał hrabia siląc się na żarcik.

Ona ruszyła ramionami wyraźnie i zamilkła—jak zwykle po każdym energiczniejszym wystąpieniu wpadając w głęboką zadumę.

Władysław mimo chęci przywrócenia swobodnej rozmowy nie mógł ukryć rozdrażnienia jakie odpowiedź żony w nim wywołało. Daremne były dowcipy pani Lucyny pokreślone najpiękniejszemi spojrzeniami. —Hrabia palił cygaro, gryząc je niecierpliwie i szukając wejrzenia Elodyi, starannie unikającej tego spotkania.

Przymus zaciężył nad nim — hrabia niedbale odpowiadał na frazesy szczebiocącej pani, Djola ciągle bawiła się szarpaniem kwiatów, cedząc monosylaby przez zacięte zęby.

— Ten piękny książe Emanuel — zaczęła nagle pani Lucyna.

— Ten piękny książe Emanuel, jest niepospolicie niemiłym dla mnie fantem, z którym nie wiem co mam zrobić? — odparł niecierpliwie Władysław.

— Jakto? spytały obie kobiety zdziwione.

— Jestto człowiek zdolny, mający bezwątpienia dużo nauki, i dobrą powierzchowność—ale przesiąknięty nowatorskiemi ideami i tworzący mieszaninę dumy, szlachetnej krwi, jaka rzeczywiście krąży w jego żyłach i czysto plebejuszowskich nawyknień. — Postępowanie z nim nie może być nigdy jasno określone, nie można go uważać za niższego sługę a zawsze przecież mierzyć go na równi z naszym towarzystwem jest niepodobieństwem! Dziwnie książe Marceli pokierował syna, teraz jego stanowisko wszędzie zostanie szczególnie dwuznaczne. Urodzeniem człowiek wyższy, sam sobie naznaczył prawie ostatnią rolę w towarzystwie. Doprawdy jestem często prawdziwie zakłopotanym jak go mam traktować!

— Wie pan! że szlachetność rodu przebija w jego rysach i *wzięciu się;* on ma w sobie coś prawdziwie zajmującego!

— Być może! ale ja tylko myślę o pozbyciu się tego oryginalnego towaru! to mówiąc hrabia spojrzał na żonę. *(d. c. n.)*

---

wiadomością, że *Kronika Zagraniczna* o której kilkakrotnie musieliśmy się odezwać z naganą, daje obecnie pierwsze oznaki większego i ruchliwszego życia! Wina-to już redakcyi, że jakoś nie poradziła z Karolem XV, o którym Kronika Zagraniczna dość szeroko się rozpisuje a o którym już poprzednio czytaliśmy. W każdym jednak razie jest tu więcej materyjału i więcej rozmaitości — niż dawniej.

* * *

Humor od czasu „Wolnych Żartów“ stał się podobno wyrazem znaczącym tyle co bocian —w różnych naturalnie dziedzińach. Przywilejem jego było: oczyszczać błoto moralne z głupich a skrzeczących istot. Od czasu do czasu jednak na horyzoncie humorystyki ukazują się szare chmury, z których wielkim strumieniem spadają.... żaby. Wtedy oczywiście rola się zmienia; to, co miało być wytępionym, domaga się gwałtem prawa bytu i czupurnie „łeb do góry” podnosi. W najświeższych czasach pojawiła się właśnie taka szara chmura, którą drukarnia opatrzyła napisem: *Kalejdoskop J. L. Kaczkowskiego*, oddając ją na pożytek publiczny za cenę kop. 60. Są tam różne okazy tego śluzowatego rodzaju, który w zoologii nosi techniczne miano: *Ranae*. Rechcenie ich zagłusza na chwilę głos innych, milszych stworzeń przyrody a klejowaty płyn, jaki po sobie zostawiają, przejmuje odrazą ludzi, mających smak wykształcony i poczucie estetyczne....

* * *

Zapowiedziane utwory 6 piérwszych zeszytów *Biblijoteki filozofii pozytywnej* wyszły już z druku w zupełności;—z tą jedynie różnicą, nader korzystną dla prenumeratorów, że z powodu bardzo ścisłego druku i większej liczby dawanych arkuszy, zawarły się w ramach szczuplejszych, niż początkowo przypuszczać było można. W tych więc zeszytach, których brakuje do dokompletowania seryi, otrzymają prenumeratorowie pracę jednego z najzdolniejszych psycho-fizyjologów francuskich, posiadającego przytym wytworną formę stylową. Sąto *Zagadki Życia* (Problèmes de la vie) Augusta Laugela, autora, z którym czytelnicy Opiekuna są po części poznajomieni zą pośrednictwem rozprawki „O namiętnościach”, drukowanej w naszym piśmie z roku zeszłego. Naddatek ten w niczym nie zmienia ani *warunków prenumeraty* ani czasu ukazywania się zeszytów w odstępach mniej więcej trzytygodniowych. Redakcyja, zwiększając swoje wydatki, liczy na poparcie światłego ogółu, który uzna napewne ważność wydawnictwa, niezwykłej u nas taniości, wydawnictwa mającego na celu rozpowszechnienie wyników prawdziwej wiedzy. Idzie o to, ażeby rozjaśnić umysły mas, ażeby nauka nie zasklepiała się w ciasnym kółku uczonych erudytów, ale rozprowadzała szeroko i daleko swoje ożywcze promienie, budząc wszystkich do samoistnego myślenia. Pobudką być tu może znajomość tych rezultatów, do jakich doszli myśliciele innych narodów, dążąc niezmordowanie do najwyższego celu *badań* człowieka — do prawdy...

* * *

W tych dniach opuściła prasę rozprawa członka komitetu redakcyjnego „Opiekuna”, Piotra Chmielowskiego p. n. *Gieneza Fantazyi*. Jestto przyczynek do psychologicznego rozbioru władz duszy ludzkiej, wykazujący nietylko ich ścisłą łączność, ale *zasadniczą* jedność w zakresie działań *umysłowych*. Podajemy spis treści: Wstęp. Rozdz. I. Kojarzenie się wyobrażeń. Rozdz. II. Zmiany i kombinacyje wyobrażeń. Rozdz. III. Znaczenie mitów. Rozdz. IV. Fantazyja artystyczna. Str. 99.

KAULBACH, MATEJKO I DORÉ.

(NOTATKA ARTYSTYCZNA.)

Dziwnym się może wyda niejednemu, że trzech powyższych artystów położyłem obok siebie. Niejeden mi powie, że każdy z nich inną ma drogę, że nie mają z sobą nic wspólnego. Tak jest, ale napozór tylko.

Kaulbach—to artysta poważny, kolosalny; rozmiary jego kompozycyi olbrzymie—szary karton to pole jego talentu.

Matejko —to malarz z kolorytem czysto indywidualnym, malarz prawdziwy, znający wszelkie tajniki swej sztuki, wszelkie jej ciemne labirynty. Jakiż może on mieć stosunek z zimnym, poważnym, mistrzem mnichowskim?

Dalej znów Doré. Ależ on źle maluje, powiecie, jako malarz drugorzędne tylko miejsce zajmować może. Czymże oni są ze sobą zsolidaryzowani? Oto wszyscy trzej są kompozytorami, twórcami, illustrują oni idee, rządzące światem, dochodzą ich, odgadują. Każda praca jednego z tych pracowników to tomy, folijały zadrukowanego papieru, to zwierciadło myśli zbiorowej narodów. Kaulbach, Matejko i Doré, są twórcami, równej może siły—treść jednak ich myśli jest rozmaitą.

Pierwszy ten olbrzym giermański, orlim swym wzrokiem sięga w daleką przeszłość i fakta historyczne układa, porządkuje, klasyfikuje i wykrywa w nich owe drogi postępu, po których ludzkość dąży do swych celów. Różne pojedyńcze idee uosabiając, tworzy z nich cykl, jakby historyją moralną ludzkości. Jest on spowiednikiem ludów; wtajemniczył się w historyją, poznał zasadnicze jej idee i okazuje to pierwsze jej kroki, to chwile upadku lub zwycięstwa.

Nie mówiąc o innych licznych pracach Kaulbacha, dość będzie wspomnieć o sześciu jego obrazach w Berlinie się znajdujących. Wyobrażają one główne przystanki ludzkości w jej długiej drodze, jaką przebyła. Olbrzymie to zadnie, przez nikogo dotąd nie podjęte godne myśliciela kompozytora, jakim jest Kaulbach.

Na pierwszym z tych obrazów widzimy scenę z zamierzchłych wieków świętej historyi. Ludzkość sama sobie zostawiona, lęka się i żąda pomocy a nie mogąc jej znaleść wpada na myśl szaloną dostania się do Stwórcy, aby nią rządził. To wieża Babel.

Dalej; badawczy umysł Kaulbacha zatrzymuje się na Helladzie. Homer, Likurg i Solon dają mu natchnienie do drugiego obrazu.

Trzeciem z kolei jest *Zburzenie Jerozolimy* przez Tytusa 8 Września 70 r. po Chr. W obrazie tym Kaulbach chciał przedstawić panowanie Rzymu, władzę i siłę jaką on posiadał. Lecz moralną, siłą daleko potężniejszą jest nowa idea Chrześcijaństwa, pod której opieką rodzina nowemu zakonowi hołdująca, spokojna o swój los z bram zapadłego miasta wychodzi.

Dalej następuje *bitwa Hunnów* na polach pod Châlons. Obraz ten uosabia walkę oświaty z ciemnotą, przypomina nam zarazem owe wędrówki narodów ze wschodu ku zachodowi, instynktem dążących w stronę rzymskiej i galijskiej kultury.

W piątym obrazie, przeniesieni jesteśmy potężną fantazyją filozoficzną Kaulbacha, w wieki rycerskości i brawury, wiary głębokiej — w wieki średnie! Pochód dla oswobodzenia Jerozolimy! Rycerze zagrzani myślą, podjętą przez Piotra pustelnika, spieszą wyrwać grób Chrystusa z rąk niewiernych. Idea więc która widnieje w trzecim i czwartym obrazie, tutaj występuje jako siła czynu, jako sprężyna ruchu narodów.

Godnym epilogiem tego wzniosłego pomysłu jest ostatni a z rzędu szósty obraz przedstawiający „*Reformatorów*.“ W kompozycyi tej Kaulbach zgromadził wszystkich mężów, którzy przez swą naukę i wynalazki, we wszystkich gałęziach wiedzy przyczynili się do zreformowania świata. Luther, Kopernik, Dürer, Kolumb, Gutenberg stanowią oś reformacyi, są oni twórcami albo nowych zupełnie idei albo ich przekształcicielami. Obok nich w umiejętnym ugrupowaniu artysta pomieścił wszystkich, którzy w jakiejkolwiek gałęzi nazwę wzniosłą reformatora przyjąć mogą.

Z tego cyklu obrazów sądząc, widzimy jasno Kaulbacha jako kompozytora. Głównym jego celem jest przedstawienie epok życia narodów, w których wykluwały się wielkie idee. Celu swego dopiął w sposób gienijalny. Obok znakomitej zrozumiałości, jaką tchną twory tego artysty, nie potrzebujące żadnych komentarzy obok prześlicznego artystycznego układu,—odznaczają się szczególnym charakterem. Każda scena ma swoje odrębne piętno zgadzające się z treścią obrazu; od zamieszania panującego przy budowie wieży Babel, od tych półdzikich jeszcze twarzy jej pracowników, — przenosi nas w pogodny klimat Grecyi starożytnej pomiędzy ludzi umiejących czuć piękno,—sztukę. Odskok olbrzymi a jednak nie razi. Patrząc na te kompozycyje w myśli przebiega się czas odgradzający dwie te epoki. Po ujrzeniu wyniosłego szczytu Babelskiej wieży, gdy zamkniemy oczy i podążymy chwilowo za biegiem swych myśli i gdy ujrzymy w tej chwili obraz Kaulbacha—to zapomnimy łatwo o tym szeregu lat, jakie myślą przebiegliśmy, — przed nami rozwinie się wstęga dziejów cywilizacyi.

(*D. n.*)

CO MAJĄ CZYNIĆ SZKOŁY

ażeby wyrobić w młodzieży charakter samodzielny?

(wyjątek z dziełka niemieckiego pedagoga **D-ra Piltza.**)

przekład Jadwigi O.

(Ciąg dalszy.)

2) Dalej—*należy młodzież od bezużytecznych pasków oswobodzić.* A przekonawszy się, że światło nauki zostało już silnie wszczepione w duszy dziecka, trzeba mu dać swobodę wynurzania się, wyjawiania myśli. Kto zaś dziecko swe bezustannie na pasku prowadzi, a tymsamym gwałt mu zadaje, pod strachem je trzyma, ten niech nie mówi: że mu się udał wychowaniec; bo to, co ono czyni, nie jest dziełem jego popędu, lecz dziełem tego, który go zmusza i tyranizuje... „Cnota, mówi przysłowie, która ciągle potrzebuje być strzeżoną—nie jest wartą strzeżenia.“ Swobody więc potrzeba dzieciom naszym!.. Jakto? albożdzieci nasze już i tak nie mają zanadto wolności? a słowa Bogumiła Golza, nie sąż dla nas ostrzeżeniem: „W tych młokosach, zanadto jest samowoli, a zamało poszanowania.“ Mnie się zdaje, że nasza młodzież ma wolności zawiele i zamało... W domu i w towarzystwach, jest ona zanadto rezolutną i hałaśliwą, w zakładach naukowych zanadto skrępowaną. Mówię tu szczególniej o zakładach zamkniętych, gdzie dziecku nie wolno robić tego,

---

* * *

Pan *Grajnert* pozbywszy się *Zorzy*, zamierza i nadal pracować na polu literatury ludowej, i w tym celu przygotowuje do druku „Wybór powieści dla ludu.“ Niezależnie od tego drukuje „Zbiór poezyj“ swoich. Dowiadujemy się też, że wkrótce wyjdą dwa inne zbiory poezyj, a mianowicie: pp. *W. Gomulickiego* i *Wł. Bełzy*. Wkrótce też opuści prasę: *Nowa szkoła na fortepian* p. W. Kruzińskiego; znawcy, którzy mieli sposobność dzieło to bliżej poznać, odzywają się o nim bardzo pochlebnie.

* * *

Nie tylko jednak poeci i muzycy składają swej pracy dowody. I w innych dziedzinach sztuki znajdujemy je także. P. M. Gierymski znany malarz otrzymał na wystawie berlińskiej medal i 500 frydrychsdorów za obraz „Gościniec w polsce.“ Od Towarzystwa Zachęty Sztuk Piękn. otrzymali nagrody konkursowe po 200 rs. za obraz olejny p. n. „Miłosierdzie“ Piotr Kaczorowski; za rzeźbę „Wiara“ Teodor Rygier; za projekt architektoniczny „Zakładu zabawy publicznej“ Adolf *Szimelfenig*. Wzmianki pochwalne za podobneż prace otrzymali: *Gramatyka* malarz, *Pruszyński* rzeźbiarz i *Brauman* budowniczy. Rezultat sądu konkursowego jak widzimy z poprzedniego zgodnym jest ze zdaniem, które ogłosiliśmy w *Sladach życia*, przed zapadnięciem decyzyi p. p. Sędziów.— P. P. *Celiński* i Leopold *Stejnman* rzeźbiarze pracują nad popiersiami W. Pola. P. Stejnman wykończa medalion według ostatniej fotografii zmarłego.— P. Walery *Eljasz* mianowany został profesorem malarstwa w szkole sztuk pięknych we owowie. Julijusz *Kossak* wykończył dwa albLmy z wyprawy myśliwskiej na niedźwiedzie.u Jeden z tych albumów przedstawia widoki z polowania w Karpatach, drugi zaś szkice humorystyczne z tej wyprawy. Oba są własnością ks. Adama Sapiehy.

* * *

Mówiliśmy poprzednio o nagradzanych medalami artystach. Niekiedy zaszczyt podobny spotyka i adeptów Temidy. P. Karol Dunin kandydat nauk prawnych otrzymał od tutejszego wydziału medal srebny za rozprawę konkursową na temat „o dziedziczeniu według zasad prawdy ruskiej.“

* * *

Młodzi nasi prawnicy w ostatnim mianowicie roku bardzo pochlebnie zaznaczyli swą działalność. Mówimy tu o wychowaniach b. Szkoły Głównej, którzy niezależnie od swych zajęć praktycznych zajęli się wydawnictwem „Biblioteki Nauk Prawnych“. Pierwszy zeszyt tej pożytecznej publikacyi wyszedł już na widok publiczny. Powiemy o niej obszerniej po wyjściu kilku następnych zeszytów pod właściwą rubryką.

* * *

Mniej odpowiednią pracą zajmują się z musu czy z braku energii b. uczniowie wydziału fizyko-matematycznego. Na konkurs wyznaczony przez „Przyrodę i Przemysł“ zależący na wykonaniu rozbioru chemicznego wody wiślanej z wodociągów warszawskich, dopiero jeden stawił się współzawodnik i to lekarz wojskowy narodowości niemieckiej. Tymczasem jak słusznie zauważył *Kuryjer Warsza-*

co myśli—co czuje, do czego ma skłonność; lecz wszystko tylko podług rozkazu wykonywać musi, aż wreszcie zamienia się niejako w maszynę i są zagładą prawdziwego w dziecku genijuszu.

Nie mogę się oprzeć chęci, przytoczenia tu słów jednego z niemieckich pedagogów, który mówi: „Gdzie dziecię tylko jakby za sztukę w stadzie jest uważane, a obok nauki nie doznaje miłości, któraby wpływała na ukształcenie serca; gdzie od rana do nocy, stąpa tylko po wytkniętych ścieżkach; gdzie wszystko, co robi jest przepisane i obce nie zaś jego własne; gdzie złego unika a dobre wypełnia dla tego, że nad nim czuwa oko jego zwierzchnika; gdzie na świat zdala tylko spogląda, ale w nim nie żyje; gdzie z dnia na dzień jedno i wciąż jedno i to samo i w tychże samych ścianach, i w tym powietrzu samych rozkazów się odbywa... O, tam ciałem może się ono rozwija, ale nie duchem.... Moralnie zostaje ową pokojową rośliną, która skurczona więdnieje, skoro ją tylko wystawią na upały słoneczne, lub burze życia.“

Lecz nie zapominajmy, że i w innych zakładach naukowych, można uczynić nadzór udręczeniem, a nawet prawdziwą zmorą, która tak przygniecie młodzieńcze serce, tak zgnębi wychowańców, iż się żaden na samoistny polot myśli nie zdobędzie; że mu wyrazy na ustach zamierać będą, a uczucie miłości dla nauczyciela, ów serdeczny pociąg ku niemu, nigdy się z pewnością w ich duszy nie zrodzi... Skoro ucisk tego rodzaju nad umysłem dziecięcym zapanuje, młodzież staje się tylko echem despotycznych, przymusowych stosunków; albo też zrywa gwałtownie krępujące ją pęta, a w rozkiełznanym szale, puszcza się na smutne i puste bezdroża. Lecz, niechaj jeszcze dwa potężne pedagogiczne umysły, rzucą na tę kwestyją swoje promienie. Herbart mówi: „Jeżeli chcemy zbyt surowego nadzoru, to nie wymagajmy od tych, którzy rosną wśród gwałtu i ucisku, żadnej zręczności, ani ducha wynalazku, ani czynów odważnych, ani śmiałych wystąpień, ani pewności i wiary we własne działanie. Oczekujmy raczej ludzi, dla których tylko jednostajna temperatura jest właściwą; którzy usuwają się od wszystkiego, co niezwyczajne i wzniosłe, a poddają się chętnie temu, co pospolite, łatwe i wygodne.“ Jean Paul znów mówi: „Jeżeli nie zechcemy kierować młodocianym doświadczeniem, to dzieci same szukać go będą: dla ciała prawdopobnie—dla ducha zpewnością.

Tak więc: nadać młodemu duchowi swobodne ruchy w prawnych granicach, zapewnić nadzór z pewnym stopniem zaufania, zwolnić zbytecznie krępujące paski, a przezornie kierować wolą, oto nasze główne zadanie, oto środki, za pomocą których, dojdziemy do wyrobienia samodzielności w naszej młodzieży. Nim jednak zakończę niniejsze uwagi muszę jeszcze nadmienić: iż ów żelazny nadzór, nie stanowi jedynych więzów, krępujących należyty rozwój sił młodzieńczych; mamy prócz tego zwyczaje, które same w sobie nie są do odrzucenia; lecz, które przez ciągłe a niewłaściwe zastosowywanie tamują swobodne w dziecku myślenie, robią je zależnym i lękliwym, nieśmiałym; słowem, pozbawiają je samodzielności. Chcę tu mówić o odwiecznej metodzie, wybadywania dziecka: zacząwszy od klas najniższych, aż do najwyższych. Wprawdzie pytania i odpowiedzi, są poniekąd jakby mostem, na którym nauczyciel schodzi się z uczniami; i jako środek ćwiczący myślenie, rozbudzający uwagę, pozostanie na zawsze w szkołach niezbędnym. Lecz kto tylko jak papuga na wyuczone zapytania odpowiada; kto do myślenia, jakby wabikiem, nieskończonemi dopiero pytaniami musi być pobudzany; ten pozostanie bezmyślnym ciemięgą. A i nauczyciel z wyrazów, lub zdań na zapytania wygłoszonych, rzadko należycie rozpozna: czy uczeń jego dokładnie rzecz pojął i zrozumiał.

Dać dziecku swobodę wypowiedzenia, wyrozumienia co i jak pojmuje, oto nasze zadanie, oto nasz cel; a celu tego dosięgniemy wtedy, skoro zawczasu dążyć do niego będziemy przez opowiadania, opisywania, objaśnienia i uzasadnienia, jakich nam dzieci same udzielać powinny.

Mamże tu jeszcze wykazać złe, jakiego powodem są wzory kaligraficzne, formułki w uczeniu rachunków i inne: któremi dzieci zbytecznie są dręczone. Nie—to wyczerpnęłoby doreszty waszę cierpliwość, kochani czytelnicy. Wracam więc do mego głównego zadania; bo pragnę was utwierdzić w przekonaniu: iż aby wyrobić samodzielność w młodzieży, należy zmienić dotychczasowy system wychowania—należy nadać pewne swobody.

(d c. n.)

Z WIATREM ZACHODNIM.

(Kartki paryskie.)

10 stycznia 1873 r.

„Ten zły roczek stary — złożono na mary!" — wołają Francuzi z radością, obiecując sobie, że nowy będzie lepszy, milszy, weselszy, szczęśliwszy, a przedewszystkim bogatszy. 1872gi w istocie nie dopisał. Pokazało się to przy *etrennach*... Czytelnicy znają zapewne ten wyraz; znaczy on prawie tyle, co półpolska gratyfikacyja. Gratyfikacyją owę składają w imieniu umierającego roku, ojciec dzieciom, gospodarz czeladce, finansista elegantkom, panicz pokojówce, kochanek swéj narzeczonéj, wydawca literatom —nigdy odwrotnie. Owóż, rok zeszły trzy głośne etrenny wyprawił paryskiéj publiczności, a wszystkie — z samobójstwa.

Najweselsze odbyły się na ostatnim balu maskowym w wielkiéj operze. Rzecz się miała w sposób następujący. Do ładnej maseczki żeńskiej przystąpiło grube maszczysko męskie, i rzekło bez ceremonii:

— Kochaj mię!

— Nigdy!—odparła w też pędy zaczepiona maseczka.

— Nigdy?—replikował zrozpaczonym tonem głos męski, nigdy?... I w tejże chwili obrzydliwe maszczysko męskie wydobyło z kieszeni sążnisty rewolwer, przyłożyło go sobie do serca.... i paf!

O cuda! Samobójca nie ruszył się z miejsca, ale się na ziemię osunęła nieczuła maseczka żeńska. Omdlała nieboga ze wzruszenia. Na tym się też wszystko i skończyło: rewolwer był bowiem papierowy—i nabój takiż.

Daleko tragiczniej odbyło się drugie samobójstwo. P. Duval, syn sławnego przedsiębiercy i założyciela powszechnie znanych „établissements de bouillon", nie wiedząc snać co robić z pieniędzmi uciułanemi przez nieboszczyka ojca — kucharza, zakochał się ostatniemi czasy w sławnéj... inaczej sławnej niż Duval — pannie Korze Pearl. Jako spadkobierca sławnych swoich poprzedników: baroneta, księcia X i tuzina jeneralnych sekretarzy ambasad, Duval syn umiał podtrzymać splendor tradycyjnej galanteryi: nie żałował grosza. To też akurat przed Nowym Rokiem szkatuła ojcowska łyse dno pokazywać zaczęła... Pearl, mistrzyni w kwestyjach finansowych doświadczona,

---

wski w dziennikach gubernijalnych spotykamy kilkanaście nominacyj wydanych magistrom i kandydatom nauk przyrodzonych lub matematycznych na... kancelistów w Rządach Gubernijalnych i biurach Powiatu. Smutny to objaw zwłaszcza w kraju, gdzie przecież brak specyjalistów.

* * *

Jednostki wybitniejsze acz wyjątkowo dochodzą wszakże do odpowiedniejszych stanowisk. P. Feliks Kucharzewski uczeń b. Szkoły Głównej mianowany został asystentem przy katedrze gieodezyi, a p. Słowikowski magister nauk fiz. mat. b. Szkoły Głównej asystentem przy katedrze nauk inżynierskich w C. K. Akademii Technicznej we Lwowie.

* * *

Kilku lekarzy warszawskich ma zamiar założyć w naszym mieście (na początek) dwa domy pomocy lekarskiej nocną porą udzielanej. Domy takie oddawna istnieją już w większych miastach zagranicznych, nam zaś wielkie usługi oddać mogą.

* * *

Podobno wkrótce kapitał Banku Handlowego ma być podniesiony do wysokości 9 milijonów rubli.

* * *

Doroczny koncert Warszawskiego Konserwatoryjum odznaczył się wystąpieniem orkiestry z uczniów samych złożonéj, która po trzech zaledwie miesiącach pracy, (gdyż klasy dętych instrumentów od wakacyi dopiéro otwarto), wykonała czysto i zgodnie Polonez Kurpińskiego. Należy się szczere uznanie Dyrektorowi Konserwatoryjum za energiją, w przeprowadzeniu swego projektu, nauczycielom za gorliwą i tak owocną pracę!

Widząc podnoszącą się Instytucyją, sądziliśmy, że publiczność nasza w większéj ilości się zbierze na ów koncert, aby przyjść w pomoc kształcącej się młodzieży. Cel tak szlachetny powinien być serdeczniéj popierany.

Inne numery programu przeważnie wykonali uczniowie.

Trudno się wdawać w szczegóły. Powiemy więc ogólnie, że istnieją w Konserwatoryjum klasy ciągle dążące do postępu (np. fortepijan, chóry), lecz są i takie, którym brak umiejętnego kierunku (klasa śpiewu solowego). Stan ten trwa od pewnego czasu nieprzerwanie.

Pan Kątski wystąpieniem swoim na estradę jako skrzypek, dał dowód że jest konserwatystą krańcowym. Dziś już minął czas fioritur i trylów długich nieskończenie, przebrzmiały już i mazury, w których zmiany tempa, bezmierna ilość części i rzekome trudności, stanowiły świetną mozajkę dla chwilowego efektu ułożoną. Powaga i poszanowanie sztuki—oto główne przymioty wirtuoza i dla tego mamy prawo wymagać, aby pan K. i jako przewodnik Instytucyi i jako nauczyciel klasy skrzypcowéj, występując publicznie był wzorem dla swych wychowańców i wykonywał dzieła klasycznéj muzyki, nieprzerabiając ich dowolnie jak to miało miejsce z Romansem Kreutzera i Polonezem Lipińskiego.

przeczuwa na co się zanosi. Od krzywego uśmieszka do gorzkiego zarzutu, od gorzkiego zarzutu do poszczwaniá psami — kroków tylko dwa. Więc i Duval, nie spostrzegłszy się, zaszedł aż do końca. Przy ostatniej wizycie, gdy kwestyja etrennów nie pomyślnie się miała rozwiązać — wskazano mu drzwi paluszkiem, a galonowani lokaje najsumienniej je zaraz za odchodzącym zamknęli. W pięć minut później chirurgowie nie mogli się doszukać kuli w piersi marnotrawnego syna... a wsadził ją tam niewątpliwie.

Rząd rozkazał pannie Pearl opuścić Francyją w 48 godzin. Przyszło tedy do sprzedaży ruchomości... Gdy syndykowie weszli do apartamentów rozkosznicy, osłupieli. O podobnych bogactwach nigdy się im nawet nie śniło. Dywany indyjskie na wagę banknotów cenione i kandelabry wysadzane brylantami, posążki szczerozłote; kufry pełne pereł...

Samobójstwo trzecie—najpospolitsze. Godzina 8 wieczorem. Nazajutrz nadejść miał rok nowy, a w mieszkaniu p. Antoniego C.... (jednego ze sławniejszych korespondentów dziennika *Italia*) było smutno, cicho, zimno i ciemno. Gospodyni leżała chora; literat medytował.

— Przynieś resztki węgla, Antonio,—mówiła chora—skończymy już.

— Zaczekam do dziesiątej, do jedenastej, do ostatniej w tym roku dystrybucyi listów. Niepodobna, żebym tak marnie przepadał.. Znam wydawcę, on zna nasze położenie. Praca jest doskonałą. Pisałem ją właśnie na *etrenny* dla ciebie, moja biedna, na lekarstwo... Honoraryja nadejdą, zobaczysz.

W tej chwili właśnie rozległ się dzwonek u drzwi. Kobieta drgnęła. Antonio pobiegł otworzyć:

— Listy!—rzekł *concierge*.

— Czy to ostatnia poczta? — zapytał Antonio.

— Ostatnia, panie.

Drzwi się zamknęły. Literat załamał ręce: listy nie były *rekomendowane*. Zapalił jednak lampkę i czytał. Jeden, drugi, trzeci.., wszystkie z zaproszeniami do współpracownictw nowych....

— Słyszysz, żono, co mi piszą... Powiadają, żem sobie zrobił *imię*... Pieniądze więc będą — zapewne w roku przyszłym o tej porze...

— A wydawca *Italii*?

— Ani słówka od niego. Snać zajęty, zapomniał może — a może też... Mniejsza tam o to!...

— To i dobrze—odrzekła kobieta sucho—przynieś węgle. Z dymem i ze sławą lżej będzie...

Gdy w kwandrans potym, przypadkowo nadchodzący przyjaciel zapukał do drzwi Antonia, odpowiedzi nie było. A że przyjaciele zwykle są domyślni i przychodzą w porę — wyłamano przeto wejście. Swąd z tlenku węgla wskazał natrętnym gościom co czynić wypada. Kobietę rzeźwiono daremnie. Antonio nazajutrz wyzdrowiał. List zaś rekomendowany trafił akurat na pogrzeb.

Wypadek ten poruszył kwestyją kapitału i pracy literackiej—w dwu zdaje się dziennikach. Inne pisma opowiedziały rzecz bez komentarzy, w rubryce rozmaitości, obok skandalu, Kory Pearl.

Były i inne jeszcze *gratyfikacyje* z trzech powyższych gatunków. Ale o nich dzienniki nie wspomniały nawet. Samobójstwo już dziś rozgłosu nie daje, lubo rozgłos bardzo często do głodnej śmierci prowadzi. Wierzcie mi, młodzi towarzysze: Pożytku spólnego szukając, łącznemi siłami bronić się trzeba.

B. Niebiast.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

I.

Teod. Tom. Jeż.

(dokończenie.)

Artystyczna strona utworów Jeża pod wielu względami na baczniejszą zasługuje uwagę. Obdarzony bogatą i silną fantazyją, Jeż stwarza obrazy pełne barw i życia, obrazy, które nader łatwo wrażają się w umysł czytelnika. Zaletą ich, jedną z najważniejszych, której napróżno szukamy u powieściopisarzów młodego pokolenia, jest to, co nazywamy *plastyką*. Chcemy powiedzieć, że obrazy owe zjawiają się przed nami jakby *wyrzeźbione*, z całą wyrazistością zarysów i z całym wykończeniem szczegółów. Czytelnik nie potrzebuje zbyt długo pracować, ażeby w duszy swojej odbyć proces *odtwarzania*, to jest wystawienia sobie osobistości i widoków tak, jak je autor wyobrazić zamierzył Niéma tu nic zamglonego, nic niepewnego; potrzeba się tylko nieco wpatrzyć, ażeby dokładnie rozpoznać nietylko charakterystyczne, główne, ale nawet drobniejsze rysy powieściowych figur czy krajobrazów. Z tego powodu praca czytania nie jest nużąca — bo ją ożywia i podtrzymuje malarska dokładność obrazów—rodzaj ilustracyi myślowej, bez rysunku... Na ten punkt chcielibyśmy największy położyć nacisk, gdyż plastyka jest jednym z tych przymiotów, które znamionują prawdziwy talent powieściowy, nie dający się zastąpić żadnemi surogatami: werwy, żywości, kalejdoskopowej zmiany a nawet—dowcipu. Są to już inne, ważne bezwątpienia a niekiedy konieczne zalety powieści, których posiadacze cieszą się głośnością i sławą; ale nie zdołają *zastąpić braku* plastyczności. Bez niej może być rozumowanie lub dowcipkowanie, jak niemniej opowiadanie ściśle kronikarskie; ale w dziedzinie artyzmu bez niej nie potrafisz zrobić dobrego obrazu.

Do powieściowych swych malowideł Jeż używa barw żywych, jaskrawych nawet, uwydatniając szczegóły na jasnym, ciepłym kolorycie. Mówiąc jaśniej — używa wyrazów i wyrażeń dosadnych, nie lęka się przekroczyć granic, zakreślonych wyrafinowaną a częstokroć udaną tylko skromnością konwenansów. W pismach jego znaleść można słowa wykreślone z parafijalnego słownika, utworzonego przez smak wydelikacony i zepsuty. Mniej więcej stara się wszystko nazwać po imieniu, co mu już wielu krytyków za wielkie wykroczenie poczytywało, i—podobny w tym do Szekspira,—naturze należne jej miejsce zostawia. Nie dbając o stwarzanie nowych wyrazów, posługuje się temi, jakich nam potoczna dostarcza rozmowa ze ścisłością nieraz fotografa, jeśliby oczywiście fotografija mogła odwzorować *mówiony* dyjalog... Nadmienić jednak wypada, że w ostatnich czasach Jeż okazał pewne zbyt wielkie zamiłowanie do wyrazów cudzoziemskich, mianowicie francuskich, które mu zapewne nasuwa pobyt zagranicą. Jestto wada, której radzilibyśmy się pozbyć. Wprawdzie takie wyrazy pojedyńcze, napływowe, nie mogą szkodzić wewnętrznej budowie języka ojczystego; w każdym jednak razie, jeżeli w mowie naszej znajdujemy równie dobre i równie dosadne słowa, to dlaczegóż im nie oddać pierwszeństwa przed wszystkiemi innemi? Werwa, jędrność stylu nic na tym nie straci a czystość języka—zyska.

Z tych kilku rysów, które czytelnik pomnożyć zechce przez cyfrę własnych obserwacyj, można już wnieść, że Jeż w artystycznym trybie tworzenia jest *realistą*, to znaczy: trzyma się wiernie rzeczywistości o tyle, o ile artysta, nie chcąc popaść w mglistość i marzycielstwo, trzymać się jej musi. Biorąc wyraz realizm w jego prawdziwym nie zaś skrzywionym przez nadużycie znaczeniu, nikt oczywiście nie pomyśli nawet robić zarzutu naszemu powieściopisarzowi, że jest prostym kopistą natury, że wprowadza w krainę sztuki „ohydny naturalizm“, będący wyrazem brutalnych popędów w sercu człowieka i t.p. —jak to dość często daje się słyszeć, kiedy wymawiamy wyrazy: *realizm, realny, realista*. Nie zapuszczając się w rozbiór znaczenia realizmu w sztuce, któryby tu był nie na miejscu, powiemy, że Jeż jako przedstawiciel prawdziwego, „uczciwego“—jak mówią niektórzy obłocznie—rozmarzeni, realizmu w naszej powieściowej literaturze, zajmuje miejsce najpierwsze. Wiedząc, że życie potoczne, zwyczajne w metafory się bawić nie lubi, odrzucił prawie wszystkie przestarzałe porównania poetyczne, o których wyraża się niekiedy nawet z przekąsem. Zleżała frazeologija dawniejsza musiała z konieczności pójść w kąt; należało utworzyć nową—a przynajmniej czerpać w źródle dotąd nie — eksploatowanym. Nowym tym źródłem jest życie spółczesne nietylko kraju rodzinnego, — ale i obcych. Życie wyrabia masę frazesów, które należy tylko wyrzeźbić na użytek artystyczny—a wzbogaci się z pewnością mowa literacka. Oczywiście każdy człowiek musi je zastosować do wymagań swej natury, do trybu zwykłego swego sposobu myślenia i mówienia, z czego powstaje styl, charakteryzujący pewną osobistość a przechodzący bardzo często w mniej lub więcej znośną *manierę*. Trudno zaprzeczyć, aby z tego powodu nie można zrobić kilku zarzutów Jeżowi. Istotnie, sposób jego pisania przechodzi nieraz w manierę—objawiającą się w powtarzaniu wyrazów i wyrażeń, w mechanicznym niemal ich przestawianiu, i w ucinkowej, krótkofrazesowej rozmowie. Jeż wybornie maluje silne, energiczne charaktery; doskonale oddaje dyjalog satyryczny, kolący; ale, stosując ten sam sposób malatury do wystawiania osobistości rzewnych, rozmarzonych, idealnie tkliwych, nie może utrzymać koniecznej równowagi pomiędzy słowem a faktem, pomiędzy zapewnieniem autorskim a jego zrealizowaniem w oczach czytelników. Ustępy rzewne, czułe, znajdują się w pewnej nieproporcyi do ustępów silnych, wybuchowych lub uszczypliwych. Więcej tu zawsze napotykamy omówień i opisów, aniżeli zwykle u Jeża. Artystyczne przedstawienie rzeczy na tym nie powiem, traci: ale nie dochodzi do należytej pełności i jedności.

Mając wzgląd ten na uwadze, a zatym zastrzeżenie niejako, powiemy, że Jeż umie wyzyskać artystycznie każdą sytuacyją. Nie drobi, nie kawałkuje, nie przerywa nawet biegu powieściowego obrazowania, jak się to często najzdolniejszym romansopisarzom zdarza; — ale obrabia je z całą starannością, dopóki zupełnie nie wyczerpie całkowitego materyjału. Otóż pod tym względem niepodobna mówić o ułamkowości i braku wykończenia — wprost przeciwnie nawet czasami trzeba wytknąć *rozwlekłość*, to jest zbyt obfite szafowanie frazesów na przedstawienie pewnej rzeczy, która mogłaby być krócej i zwięźlej opowiedziana. Zato *całość* artystyczna na inne słabuje niedostatki. Zwykle pod koniec utworu, czuć pewne znużenie, pewien pośpiech, który nie pozwala zakończeniu powieści nadać tej szerokości i tej pełności, jakąśmy podziwiali z początku. Takie nawet utwory jak Uskoki i Narzeczona Harambaszy nie są wolne od powyższego znużenia. W każdym atoli razie siła szczegółów cudnie skreślonych, a wrażających się w pamięć jak słońca promienie w kliszę fotograficzną, jest

tak wielka, że pomimo tych braków sąd nasz ogólny o powieści nie może wypaść niekorzystnie. Wrażenia przyjemne, uszlachetniające, potęgą swoją pokonywają wrażenia przykre lub nużące...

Jak widzimy, wady, jakieśmy zaznaczyć w pismach Jeża musieli, odnoszą się przeważnie do artystycznego ich wykonania. Zostawiliśmy wykazanie ich na sam koniec z umysłu—dlatego, ażeby dowieść czytelnikom, iż staraliśmy się sąd swój formułować bez przychylnego uprzedzenia. Nie zdaje się nam przecież, ażeby *końcowe* wrażenie było zarazem wrażeniem *ogólnym* co do znaczenia i wartości powieści Jeża. Dla niejednego zapewne i lichota nawet, wedle prawideł sztuki obrobiona, ma cenę arcydzieła; dla nas, którzy przedewszystkim poszukujemy myśli zdrowej i pożytecznej; który gwoli tej myśli wiele chyb wybaczyć umiemy — lichota pozostaje lichotą; a utwór jaśniejący blaskiem prawdy pozostaje dziełem wielkim, choćby artyzm w niektórych punktach szwankował. Jeż — w zakresie powieściopisarstwa — jest przedownikiem myśli trzeźwej, pozytywnej, która zna marzenia i cenić je potrafi; ale poddawać się im bezwarunkowo nie chce, bo wie, że one stają się bardzo często przeszkodą do rozumnego przeprowadzenia wielkich czynów. Dalej więc, kto żyć i działać pragnie, kto się ocknął ze snu rozmarzenia i przejrzał światło, niech przyklaśnie literackiej pracy człowieka, który *stałe przekonania* za niewzruszony fundament utworów fantazyi położył i wiernym im pozostał!......

P. Chmielowski.



Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII przez *K. B. Hoffmana*. Kraków.

Druga połowa wieku XI i cały wiek XII, byłato chwila nadzwyczaj ważna w dziejowym rozwoju Europy. Główną jej cechę stanowią dwa wielkie czynniki: przewaga władzy duchownej papieżów nad złamaną potęgą cesarzów i królów; — i ocknienie się ogólnej cywilizacyi z długiego letargu, w który pogrążyła ją burzliwa wędrówka ludów barbarzyńskich. Wyprawy krzyżowe z jednej strony zadawalniały samowładztwo naczelników kościoła, na skinienie których ginęły tłumy dla odzyskania grobu Chrystusa; lecz z drugiej rozszerzały zakres pojęć, ożywiały handel, podnosiły naukę (liczne uniwersytety powstały w tej dobie). Tak było w Europie. Dla Polski chwila ta nie mniej była ważną, jakkolwiek z innych pocżęści powodów. W wieku XII kończy się świetna epoka trzech Bolesławów, która położyła fundamenta do przyszłej budowy państwowej, a zaczyna się smutny okres rozterek, podziałów, zmian, które o mało co nie doprowadziły do zupełnego rozkawałkowania się kraju. Wtedy to Polska straciła jednę z integralnych swych części—Szląsk, gdzie panowała starsza linija Piastów, która bardzo wcześnie uległa wpływowi niemczyzny. Jakie przyczyny składały się na wytworzenie tego zgubnego stanu rzeczy, zasmucającego nietylko badaczów ale każdego, co czuje wielkość swego narodu? Pytanie to rozwiązywano dawniej jednym frazesem: *tak chciał Bolesław Krzywousty* — i dalejże na wyścigi wyrzucać wszystkie następne nieszczęścia temu, który zawsze myślał tylko o dobru swojej ojczyzny... Piérwszy *Bandtkie* (o ile wiemy) zwrócił uwagę na niezasadność takiego wygodnego rozwiązywania kwestyi, pisząc w *Historyi prawa polskiego* (str. 122) te słowa: „*Duchowieństwo wyższe* było powodem podziału kraju po Bolesławie Krzywoustym i wprowadzało na tron albo spychało z niego dobrowolnie; *ono dało przykład panom*". Pogląd ten potrzebował dowodów, wyjaśnień, szczegółów. Czy p. Hoffman w rozprawie swojej podał je? Zdaje się, że nie można odpowiedzieć całkiem przecząco. Zebrał on szczegółów dużo; zarysował panowanie Władysława II, historyją jego sprzeczek z braćmi, którzy z początku ulegli jego woli, wkrótce chcieli rządzić samodzielnie, nie uznając zwierzchnictwa najstarszego z rodu. Oczywiście z powodu małoletności ich niepodobna prawie przypuszczać, ażeby oni *sami*, z własnej inicyjatywy zatargi te rozpoczynali. Musiał tam być ktoś, co ich podbechtywał. Może matka, trzecia żona Krzywoustego, *Salomea?* Autor poświęca cały III rozdział (str. 42—73) sumiennym, drobiazgowym nawet poszukiwaniom, ażeby wykryć rolę, jaką po śmierci męża odgrywała; ale do żadnych stanowczych nie może przyjść rezultatów. Nie ma wyraźnego śladu, ażeby Salomea stała się fermentem niezgody. Więc zapewne opiekunowie małoletnich chcieli dobrze zużytkować czas swojego wpływu? Jestto rzeczą w najwyższym stopniu prawdopodobną. Opiekunami byli biskupi. Oni zapatrzywszy się na samowładztwo papieża, zapragnęli w szczupłym zakresie swojej działalności posiąść znaczenie i władzę rządzących; i w tym celu połączyli się z możnowładcami, pragnącemi udziału w rządach i większej samoistności w postępowaniu. „Detronizacyja starszej linii Piastów — powiada p. Hoffman — oraz *podział monarchii* nigdy nie miałaby miejsca, gdyby nie *prześladowanie jednego możnego magnata* Piotra Włast Dunina i spisek jego mścicieli" (str. 102). Łącząc ten pojedyńczy wypadek z ogólną dążnością epoki, z intrygami wyższego duchowieństwa, z rywalizacyją żywiołu monarchicznego i oligarchicznego, możemy sobie łatwo wytłomaczyć fakt podziału kraju po śmierci Bolesława Krzywoustego, którego myśl na łożu śmiertelnym zaprzątała się jednością i trwałością państwa na podstawie zwierzchniej władzy *najstarszego z rodu.*

Przyznać atoli potrzeba, że myśl ta, tłomacząca przyczynę podziału, jakkolwiek *prawdopodobna*, nie znajduje w rozprawie p. H. *dostatecznych dowodów historycznych.* Rządy Władysława II, jak wiadomo, wywoływały dotąd bardzo surowe ze strony historyków nagany, i były uważane za jeden z głównych powodów rozstrzelenia się państwa na pojedyńcze części. Jeszcze surowsze zarzuty spotykały jego żonę i kierowniczkę—Agnieszkę. Rozumowanie, którym p. H. stara się oczyścić niezbyt jasną sprawę obojga małżonków, jest dosyć jednostronne. Jestto rozumowanie tylko; ale nie fakta. Pan H. jest przekonany, że monarchija jedynie zbawić mogła Polaków; wszyscy więc, którzy w sprawie ustalenia monarchii działali, musieli dobrze życzyć krajowi; a zatym na zarzuty nie zasługują. Próżno ich oskarżać o interes osobisty, o ambicyją i t. p. Jestto pogląd słuszny ale w części tylko. W rozpatrywaniu dziejów trzeba zważać na idee panujące wieku, na okoliczności, które przeważną wówczas odgrywały rolę; nie można zaś przenosić formuł dzisiejszych na epoki odległe.

P. Ch.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Pani Salomei Abgarowicz w Demszynie.* Sekretarza wysłaliśmy, kosztuje z przesyłką kop. 70. Do prenumeraty roku bieżącego niedopłacono kop. 30. Mamy więc u Pani kop. 40.

— *Panu Pawluciowi w Biały.* Polecamy Arytmetykę Augusta Jeskiego kop. 45; Gramatykę polską Olpińskiego, wydaną we Lwowie 1872 r. Historyją powszechną Weltera 3 tomy; Historyją polską F. S. Dmochowskiego.

— *Panu Aug. Brod.* w Iwanówce. Nie wiemy na co Pan nam nadsyła 2 rs. oprócz prenumeraty: czy na książki Jeskiego czy na Robinsona?

— *Pani Jes. Hor. w Nowogrodzie.* Odebraliśmy nie 2 lecz 3 rs. Za pozostałe więc z półrocznéj prenumeraty kop. 50 wysyłamy Robinsona i Kalendarz.

— *Panu Wiktorowi Fijał.* Kalendarz rolniczy wysłany.

— *Pani Leopoldynie Mazurkiewicz.* Pan Grabowski mieszka przy ulicy Chmielnéj Nr. 10 nowy.

— *Panu Trzec. w Czarnych Wodach.* Zażalenia pańskie administracyi „Bluszczu" dotyczące są w części słuszne—pan Glügsberg obiecał je uwzględnić. Nadesłane pieniądze wręczyliśmy komu należało.

— *Pani Iwasz. w Boratyczach.* Objaśnianie co do podręczników naukowych podaliśmy w r. z.; dla wiadomości nowych prenumeratorów powtórzymy je w jednym z najbliższych numerów.

— *Panu Korzonowi w Padunie.* Za przewyżkę posyłamy Kalendarz Ungra.

— *Panu Lipeckięmu w Białej.* Prenumerata wynosi rs. 2-50. Za resztę posyłamy Kalendarz i 2 Robinsony.

— *Panu K. Izbińs. w Odesie.* List i rs. 22 odebraliśmy—żądane wydawnictwa zaprenumerowane.

— *Panu Ign. Rościsz. w Pączkowie.* Do półrocznéj prenumeraty należy się nam kop. 50.

— *Panu Katerli w Łęczycy i P. Nowakowi w Glanowie.* Redakcyja Gazety Rolniczej nie przyjmuje kwartalnéj prenumeraty, tylko półroczną, zatym prosimy o spieszne nadesłanie pozostałych 3 Rs. (po 1-50).

— *Pani Maryi Dąbr. i P. Rom. Marcinkowskiemu w Odesie.* Przedpłata za 50 tomów wynosi 6 rs. zatym należeć się będzie jeszcze po 3 rs. które można odesłać w końcu Marca.

☞ Do dzisiejszego Nr. Opiekuna dołącza się dla wszystkich pp. Prenumeratorów, Tom I-szy powieści „Tajemnice Komuny"—jako bezpłatny dodatek za miesiąc Styczeń.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.